

Kronika tygodniowa.

I nie oglądaliśmy się nawet, a pół roku bieżącego należy już do historii. Od chwili, gdy dzień staje się krótszy, a noc dłuższa, t.j. od dnia 21 czerwca zaczynamy się powoli zbliżać ku końcowi roku i przypominać sobie coraz częściej, że zima za pasem, w mieszkaniu jest piec, a ten potrzebuje węgla. Nowy zatem kłopot dla każdego, bez względu na to, czy jest ojcem rodziny, czy ją też sam stanowi dla siebie. Nowym właściwie nazywać go nie można, gdyż jest *de facto* starym, ale nigdy nie dawał się tak we znaki, jak obecnie, choć węgle i drzewa mamy w kraju dość. Ale dawniej cenny węgle kosztował zaledwo kilkadziesiąt centów, obecnie osiągnął wysokość kilkadziesiąt tysięcy marek, a ile będzie kosztować w okresie największego zapotrzebowania, t. j. w zimie, o tem nie wie nikt, nawet komisya drożyzniarska, wtajemniczona jedynie w to, co już było, a nie przewidująca nic na przyszłość.

Cała nadzieja w przypuszczeniu, że i obecna zima, podobnie jak poprzednia, nie będzie zbyt ostrą, że zatem można się będzie zadowolić samem tylko posiadaniem pieca, bez potrzeby karmienia go węglem drzewem. Meteorologowie są zdania, że weszliśmy w seryę lat, w których lato jest niewyraźne, t. j. nie dokucza upałami, a i zima nie daje się zbyt we znaki. Że się co do lata nie pomylili, o tem już wiemy z własnego swego doświadczenia, czy się jednak spełnią ich zimowe przewidywania, to dopiero dalszy ciąg pokaże.

Zapowiadano nam wprawdzie na lipiec ogromne upały, ale jakoś się na nie nie zanoszą, chłodne zefirki wieją stale tak od wschodu jak i zachodu, nadmiarem upałów cieszy się natomiast północna Ameryka, gdzie panują takie gorąca, iż ludność zmuszoną jest do spędzania nocy pod gołym niebem w publicznych ogrodach, które zamieniły się na „hotele pod słońcem“, o ile je tak nazwać można, jeśli się zważy, że i w Ameryce nocną porą słońce nie przyświeca. Z powodu gorąca zmarły setki ludzi trochę zwarjowało, a reszta jest w kłopotach, nie mogąc z rozpaczki zalać robaka, do czego, wiadomo, woda się nie nadaje. Widzą Amerykanie dopiero teraz, jakie głupstwo palnili, uchwalając ustawę prohicyną i starają się złe naprawić, powiadając sobie „lepiej późno, niż nigdy“.

Gdy w północnej Ameryce ludzie się pocą, w południowej Europie marzną natomiast, jak donoszą telegramy z Włoch, temperatura pod modrem niebem Italii obniżyła się znacznie, a miejscami zanotowano nawet opady śnieżne. Cieszą się z tego bolszewicy, wytykając włoskim faszystom fatalne skutki ich dotychczasowej gospodarki, ale nie sobie z tego nie robi Mussolini i, aby złemu zaradzić, kazał puścić w ruch Etnę, co przyczyniło się do chwilowego ogrzania atmosfery.

Mimowoli, dzwoniąc nieraz zębami ze zimna, zazdrościmy Włochom, nie garnącym się nawet w zimie ku piecowi, nie kłopotającym się skutkiem tego o węgle, a posiadającym ponadto takie naturalne kaloryfery, jak Wezuwiusz i Etna, nie mówiąc o Stromboli, gdyż tamtejszy wulkan przeszedł już w stan dobrze zasłużonego spoczynku i, co najwyżej, kopci tylko czasem, ale nie wyrzuca ani lawy ani popiołu. Przypominał nam się przy tej sposobności i ów nowy wulkan włoski, jaki wedle doniesienia jednego z naszych dzienników miał wybuchnąć koło Udine, jak się jednak zdaje, z powodów od redakcyi niezależnych nie zdołał się doczekać realizacyi, a wieść o nim do nas przyniosła kaczka dziennikarska, która w dziwny sposób zimową porą zabłądziła w nasze strony. Włochom dwa czynne wulkany zupełnie wystarczą, powiększenia ich liczby mogą się rzec śmiało na korzyść swych sąsiadów i przyjaciół, a do tych ostatnich i my się przecież zaliczamy. A nam przydałby się bardzo bodajby jeden taki wulkanik, gdyż stałby się może regulatorem cen węgla i drzewa, o ile oczywiście pan minister skarbu nie nałożyłby z tego powodu jakiego nowego podatku na całą najbliższą okolicę, płatnego oczywiście w złotych polskich. Choć kto wie, czy i wulkan poradziłby co naszej mizeryi opałowej, jeśli się zważy, że dawniej, gdy węgle sprowadzaliśmy z Prus, było o nie u nas łatwiej,

niż obecnie, gdyż je mamy w granicach naszego kraju. Coś podobnego zauważyć można także i przy rozpatrywaniu kwestyi śledziowej, bo gdy przed wojną można było całkiem przystoicie śledzia kupić za cztery centy, po uzyskaniu dostępu do morza, w którym są także śledzie, płacić za nie musimy wprost bająskie sumy.

Jednem słowem, w którą stronę się zwrócić, wszędzie konstatuje się fakt, że teraz mamy świat na opak i, po wojnie przeżywamy chwilę, o jakich się nawet filozofom nie śniło. Miała wojna światowa naprawić stare nieco już uszkodzone porządki, tymczasem, jak się obecnie okazuje, zabrała się do tego zupełnie nieudolnie i zamiast naprawić, co było złe, zepsuła także i to co nadawało się jeszcze do użytku, czyli, że była nazupełniej niepotrzebna, o czem zresztą każdy, choćby nawet nie był Polakiem, mógł się po szkodzie na samym sobie przekonać.

Rozpoczął się miesiąc lipiec dawniej początek okresu kanikularnego i towarzyszących mu kaczek dziennikarskich, których masowy ciąg można było stale obserwować, czas wyjazdu na wakacje, delektowania się świeżem powietrzem, kureczkami, a choćby tylko nowymi ziemniakami. Że lipiec jest, tego nikt nie zaprzeczy, bo tak głosi kalendarz, ale niema wcale kanikuły, wyjazd na wakacje odłożony został do następnego roku, ewentualnie i na później, aż się stosunki poprawią, o młodych kureczkach marzyć może chyba miliarder, a na nowe ziemniaki z trudem tylko zdobędzie się milioner, bo za kilogram trzeba zapłacić pięć tysięcy marek, nie licząc do nich masła, bez którego się nie obejda, a będącego dla wielu z nas jedynie wspomnieniem dawnych, przedwojennych czasów, gdy na targu krakowskim kupowało się osetkę za kilkadziesiąt centów. Nawet dziennikarz lub literat, należący do stałych konsumentów bryndzy, bodajby bezpośrednio po otrzymaniu miesięcznej gaży mogli sobie pozwolić na podobny wybryk, jak talerz podśmiania, a do tego porcja młodych ziemniaków, obecnie zadowolić się muszą smakiem i przypomnieniem sobie tych czasów, kiedy to bułka „centówka“ kosztowała naprawdę centa, a patrząc na nią, kiwało się z politowaniem głową, narzekając, że jeszcze kilka lat temu wstecz była ona prawie o połowę większą. Dziś wydaje nam się to jakimś opowiadaniem z bajki i przestaliśmy się dziwić, że za dwie bułki „kajzerki“ zapłacić trzeba tysiąc i czterdzieści marek, a takich pigulek zjadłby człowiek o przeciętnym apetycie do śniadania co najmniej ze sześć, drugą taką samą porcję zaś na podwieczorek.

Mimowoli przyszły kronikarzowi na myśl dawne, młodzieńcze lata, gdy w tym czasie wyjeżdżał do domu rodzicielskiego na wakacje. Okolica, w której zamieszkiwali jego rodzice, była dość szczelnie zabita deskami od reszty świata, ale z biegiem lat i w tym płocie zrobiono wyłom i doprowadzono kolej żelazną w bezpośrednie sąsiedztwo, czego następstwem było raptowne podrożenie wszelkich artykułów spożywczych, mających teraz ułatwiony odpływ w dalsze okolice. Za litr mleka prosto od krowy płać pachciarz z sąsiedniego miasteczka aż cztery centy, a tu nagle kilogram mięsa podskoczył z dwudziestu centów na trzydzieści, a niedługo potem na czterdzieści. Gospodynie rozpaczwały, co to za straszna drożyzna, każde gwizdnięcie lokomotywy kolejowej, która pośrodku spowodowała wzmoczenie się drożyzny odbijało się boleśnie na ich sercach, a jeszcze bardziej na kieszeni, z wzruszeniem i prawdziwym nabożeństwem opowiadano sobie, jak to przed laty jeszcze kilku można było całe cięło wraz ze skórą i ogonem kupić za kilkanaście centów i zastanawiano się poważnie nad tem, kiedy też wrócą te dawne, lepsze czasy. Z tych osób, które wówczas przejmowały te troski, dziś już niewiele pozostało przy życiu, te zaś, płatające się jeszcze między nami, ani rusz nie mogą się pogodzić z obecną sytuacją i przepowiadają rychły koniec świata. Robotnik wiejski zarabiał wówczas dziennie trzydzieści, a bardzo ukwalifikowany nawet i czterdzieści centów dziennie i to mu zupełnie wystarczyło, a trzeba było widzieć go wracającego z jakiegoś jarmarku, dokąd się wybrał, mając całą „piątecznę“ w kieszeni, ile on tam nakupił najrozmaitszych rzeczy. Gdyby dziś chciał nabyć to wszystko, musiałby zabrać ze sobą pełny worek wypchany banknotami i to nie byle jakimi, lecz conajmniej „słoniemi“ lub wielbłądami i wówczas narzekało się, że jest drogo, a ten i ów wzdychał

nie raz do lepszych czasów, wyrażając przypuszczenie, że w powietrzu wisi tylko wojna, a po niej, jak po burzy, oczyści się gruntownie atmosfera. Kto jednak żywił takie nadzieje, ten był w błędzie, bo wiekowe doświadczenie uczy, że każda większa wojna powoduje drożyznę, a wypaczone przez nią stosunki nie wracają już nigdy do pierwotnych norm. O tem przekonaliśmy się po wojnie prusko-austriackiej w roku 1866., następne wojny, bezpośrednio nas nie dotykające, nie dały nam się zbyt odczuć, ale za to gruntownego łupnia zadała nam wojna światowa, nim zaś odczujemy jakieś dobroczynne jej skutki, trzeba będzie wywakuować się z tego świata, a oczekiwanie pozostawić swym następcom, którzy kiedyś będą się może dziwić, że w Krakowie kosztowała w roku 1923. najzwyczajniejsza gęś czterdzieści tysięcy marek, tak jak nam nie mogło się swego czasu pomieścić w głowie, jak Paryżanie mogli za nią w czasie oblężenia miasta przez Prusaków płacić aż... sto dwadzieścia pięć franków.

Pan minister Grabski, przeczytawszy to, powie z pewnością, że obecnie stosunki gruntownie się poprawiły, na dowód przeliczy zaś marki na złote polskie i wykaże, że owe czterdzieści tysięcy marek równają się dwu złotym polskim, czyli mniej więcej dawnym dwu koronom, sto dwadzieścia pięć franków zaś z czasów oblężenia Paryża, przeliczone na naszą walutę po obecnym kursie franka, pójdą w miliony, że zatem dobrobyt zaczyna się coraz bardziej ustalać, a to przeważnie dzięki wprowadzeniu złotego Polskiego, pozwalającego przedstawić sytuację w takim oświetleniu, jakie dla kogo wygodniejsze. Raz sypie się szeroko markami, zaraz potem kurczy się je na złote polskie, przyczyniając się tem do wprowadzenia w naszym życiu codziennym jeszcze większego, niż dotychczas chaosu.

Już w zakończeniu poprzedniej kroniki wspominaliśmy o nieudanej próbie pana ministra ze złotymi polskimi, którymi miał rzekomo ratować markę polską, a tymczasem tak jej dogodził, że banknot tysiącmarkowy osiągnął wartość niespełna dawnych dwu centów. Niestety, brak miejsca nie pozwolił nam na należyte omówienie sprawy, czekaliśmy zresztą na zapowiedziane wywnętrznienia pana ministra w sejmie, gdzie miał rzucić jasny snop światła na obecną naszą sytuację ekonomiczną. Do tej chwili należało się zatem wstrzymać z krytyką, choć z góry byliśmy przekonani, że pan Grabski nie powie nie więcej, jak tyle, co zwykle dotąd, że on wszystko z góry przewidział, ale katastrofie przeciwdziałać nie zdołał. Przyjazd do Warszawy króla rumuńskiego przeszkodził panu Grabskiemu w wygłoszeniu *expose*, nie wiemy zatem dotąd, czy mamy mu wyrazić zaufanie i podziękowanie za jego dotychczasową politykę finansową, czy też zaproponować aby przystąpił do stowarzyszenia „O. P. K.“ (Onufry pakuj kufry!...) i zrobił miejsce innemu lub innym.

Na bonach złotych zrobili złoty interes walciarze, nie tracą na nich ci, którzy je tydzień przedtem zakupili po niższej cenie, czy jednak wyjdzie na tem dobrze skarb państwa, to pytanie, na które nawet sam pan Grabski nie odpowie, nie dlatego, jakoby odpowiedzi znaleźć nie umiał, ale poprostu z tego powodu, iż go wstyd, że, choć jak sam opowiada, wszystko z góry przewidywał, nie przecież nie przewidział, a bardzo wiele przeoczył. Gwałtowna zwyżka dolara pociągnęła za sobą i złote polskie, które nadprogramowo, nie czekając na zwykły, zapowiedziany urzędowo termin dziesięciodniowy oznaczania ich wartości, podskoczyły z trzynastu tysięcy na dwadzieścia, a każdy, kto miał złote polskie, spodziewając się, iż znowu lada dzień mogą spaść, chciał się ich pozbyć, nie mogąc tego zaś uczynić we właściwej kasie, gdzie trzeba było stawać do „ogonka“, odsprzedawał je spekulantom, gotowym zawsze spieszyć z pomocą bliźniemu, gdy ten jest w potrzebie. Obecnie są złote polskie notowane po siedmnaście tysięcy za złoty polski, czyli za dawną koronę, ale spekulanci nie tracą nadziei, że to nie była ostatnia próba ratowania finansów przez pana Grabskiego i że nie na na tem nie tracą, jeśli one przez kilka tygodni przeleżą się w ich kieszeni, aż do najbliższej próby naszego genialnego teoretyka, którą oni potrafią wyzyskać dla siebie bardzo praktycznie.